

Jacek Koronacki

Chora amerykańska demokracja

Zbliżają się wybory prezydenckie w USA. W prasie mamy coraz więcej szczegółowych analiz kampanii obydwójga obecnych kandydatów, Hillary Clinton i Donalda Trumpa. Są to najczęściej analizy na pewno fachowe, ale – ponieważ skupiają się na samych kampaniach, na tym co kandydaci mówią i jakie poglądy według komentatorów mają - analizy te albo nie dotyczą szerszego kontekstu społeczno-politycznego, w jakim się Ameryka znajduje, albo dotyczą go powierzchownie.

Ameryka pogrąża się, nie tak szybko jak zachodnia Europa i nieco inaczej, w głębokim kryzysie społecznym. Przecież gdyby tak nie było, nie byłoby w USA fenomenu populisty Donalda Trumpa, którego obecność na scenie politycznej mówi co najmniej tyle: społeczno-polityczny kryzys Ameryki zaszedł już tak daleko, że jej klasa polityczna okazała się niezdolna do dalszego ukrywania tegoż kryzysu przed amerykańskim wyborcą.

Mamy dziś wiele dobrych opisów, jak historia Stanów Zjednoczonych prowadziła do zdradzenia wszelkiego republikanizmu, do imperializmu przenikniętego mesjanistyczną u swych podstaw i zarazem postępową inżynierią społeczną (od tzw. postępowej ery począwszy), nieuniknionego, ponieważ wbudowanego w źle skonstruowany system, marnowania pieniędzy podatnika, rozbuchanego klientelizmu politycznego i zwykłej korupcji. Jest to system chory, ale ciągle i mimo wszystko bardzo stabilny.

Obecny system jest wynikiem procesu liczącego dziś w USA prawie 200 lat. Pionierem brudnych zachowań biznesowo-politycznych był Andrew Jackson, który nie tylko w sposób nieuczciwy zbił fortunę na przejmowaniu dla USA ziemi Indian, ale także był pierwszym, który na wielką skalę posłużył się patronażem, by zapewnić sobie prezydenturę. Patronaż utrwalił Abraham Lincoln: z około 1500 stanowisk, które miał do obsadzenia we władzach federalnych, wyrzucił około 1200 Demokratów; ponadto zwiększył liczbę wszystkich pracowników cywilnych z ok. 41 tysięcy do 195 tysięcy, tym sposobem umacniając związek zwycięskiej partii z federalnymi apanażami (poza jednym przypadkiem wszystkie dane liczbowe podane w tym artykule pochodzą z książki Jaya Costa *A Republic No More: Big Government and the Rise of American Political Corruption* z roku 2015). Ale to było "małe piwo". W ostatnich dekadach XIX wieku nadszedł tzw. pozłacany wiek, gdy jednym z fundamentów dynamicznego rozwoju wielkiego biznesu okazało się korupcyjne i wówczas bezprecedensowe związanie tegoż biznesu z klasą polityczną.

Problem nie wynikał z jakiejś szczególnej w tamtym czasie nieuczciwości polityków, lecz z usankcjonowanej już przez polityczną tradycję luźnej (rozszerzającej) interpretacji Konstytucji, w szczególności zawartej w niej tzw. Klauzuli Handlowej (ang. *Commerce Clause*). Można rzec, iż działanie systemu wzajemnej równowagi i kontroli (*checks and balances*) władz politycznych – ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej – zostało zastąpione zasadą stopniowego wzrostu znaczenia tych trzech gałęzi władzy w rządzeniu państwem jako całością i poszczególnymi stanami. W rezultacie, w miejsce systemu wzajemnej równowagi i kontroli przyszedł nowy: system grup interesu. To nieistotne, że np. kongresman mógł dostać nawet ogromną łapówkę, istotne było, że swoimi decyzjami politycznymi wpływał na ekonomiczną sytuację tego czy innego stanu (zwłaszcza stanu, który reprezentował, któremu życzył dobrze i przez który chciał być znowu wybrany). Tak

powstała niesłychanie sprawnie działająca maszyna polityczno-biznesowa. Działa ona do dziś i do dziś rośnie siła powiązań między polityką a wielkim biznesem i innymi grupami nacisku.

W roku 1968 na Kapitolu pracowało mniej niż 100 lobbystów zarejestrowanych przy Izbie Reprezentantów; w roku 2000 w całym Kongresie było już ok. 15 tysięcy lobbystów, zaś w roku 2006 ponad 30 tysięcy. Trudno w to uwierzyć, prawda? I w to także: gdy pisał swoją książkę Cost, procent byłych kongresmanów pracujących jako lobbyści wynosił 50 w izbie Reprezentantów oraz 43 w Senacie USA.

Grupy nacisku, potężne, choć może nie aż tak jak biznesowe, to także – od okresu Nowego Ładu Franklina D. Roosevelta – związki zawodowe oraz wszystkie agendy związane z opiekuńczością państwa (Medicare, Medicaid, Social Security i inne odpowiadające za transfer pieniędzy od jednej części społeczeństwa do drugiej). Związki zawodowe współfinansują wybory prezydenckie, wspomniane agendy oczywiście nie, ale też mają wielki wpływ na funkcjonowanie państwa i marnowanie przez państwo ogromnych pieniędzy (por. np. wspomniana książka Costa). Nie trzeba dodawać, że agendy te mają przemożny wpływ na wybory prezydenckie oraz każde inne za pośrednictwem wyborców, których obsługują. Nie ma np. wątpliwości, że Partia Demokratyczna nie miałaby wielkich szans na prezydenturę bez wspierania państwowej opiekuńczości. Dobrze to ilustrują liczby mówiące jaka część społeczeństwa na kogo głosuje – po 1964 roku to czarnoskórzy Amerykanie zapewniali, a obecnie przede wszystkim oni oraz niektóre inne mniejszości etniczne zapewniają wygrane Demokratom.

Taki jest dziś amerykański republikanizm - czyli nie ma go wcale. I taka jest demokracja – czyli system chory, któremu ktoś nadał nazwę liberalizmu grup interesu (*interest group liberalism*). System chory, ponieważ ma dobrze zdefiniowane dobro partyjne i doskonale konsekwentnie nie uwzględnia dobra ogółu. Na anegdotycznym przykładzie: Lyndon Johnson, który w latach 1964 - 1965 przeprowadził przez Kongres Ustawę o Prawach Obywatelskich oraz ustawy dotyczące wielkiego programu państwowej opiekuńczości (nazwanego w oryginale *War on Poverty*), zapewne nie wiedział, że jego wojna z biedą doprowadzi czarną społeczność Ameryki do moralnej degeneracji. Ale dobrze wiedział i w rozmowie z dwoma kongresmanami z Partii Demokratycznej, którzy przeciw jego politycznej strategii protestowali, powiedział, iż owa strategia zapewni ich Partii głosy amerykańskich Murzynów „przez następnych 200 lat” (Johnson oczywiście nie użył słowa *Negroes*, lecz pogardliwego *niggers*).

W tym roku Partia Demokratyczna stara się przyciągnąć młodzież hasłem prawie darmowych studiów. Koszty takiej operacji ma ponieść państwo, oczywiście zwiększając swoje zadłużenie, które – również oczywiście – muszą spłacać jego obywatele. Innymi słowy, opłata za studia ma zostać odsunięta w czasie i zostanie uiszczona przez dzisiejszą młodzież z jej późniejszych zarobków. Zaś olbrzymie i stale rosnące zadłużenie amerykańskiego państwa o tyle tylko interesuje obydwie partie, Republikańską i Demokratyczną, o ile jedna może dzięki temu długowi napsuć krwi drugiej.

Co gorsze, zbyt wielka władza skupiona w rękach polityków służy nie tylko wymienionym już grupom interesu, nade wszystko światu finansów i wielkiego biznesu, który ma interes globalny i nie obchodzi go dobro amerykańskiego narodu. Władza ta służy dziś także nowej grupie nacisku, tym razem moralnego, zrodzonego z tradycji progresywizmu, który szybko przyjął oblicze ultra-postępowej inżynierii społecznej. Tak jak progresywizm i interes partyjny doprowadziły do moralnej degeneracji Afroamerykanów, tak dziś trujące owoce tej

inżynierii obejmują już biedniejszą część białego społeczeństwa Ameryki. Dogłębną socjologiczną analizę tej sytuacji przedstawił znakomity i uznany badacz Charles Murray (p. zwłaszcza jego książka *Coming Apart: The State of White America, 1960-2010* z 2013 roku i także *By the People: Rebuilding Liberty Without Permission* z ubiegłego roku). A jest to sytuacja groźna – procent białych Amerykanów w wieku 30 do 49 lat, którzy nie zarabiają dość by utrzymać dwuosobowe gospodarstwo domowe (bez względu na to czy z własnej winy czy nie), w roku 1967 wynosił 8 proc., ale od owego roku zaczął rosnąć, by w roku 2007 osiągnąć 27 proc.

Murray pokazał również, że obecna klasa wyższa jest doskonale odcięta od reszty społeczeństwa. W przeciwieństwie do klasy ubogich Amerykanów zachowuje tradycyjny kod moralny, ale ani go nie szerzy – jak przystało elicie – ani nie potrafi go uzasadnić inaczej niż względami pragmatycznymi. Każdy obserwator amerykańskiej sceny widzi, iż nowa klasa wyższa przyjęła za swój język liberalizmu i politycznej poprawności, a zatem straciła zdolność czynienia właściwych rozróżnień. Jak cały Zachód, przestała się sama rozumieć. Tym samym, średnia klasa Amerykanów została zostawiona sama sobie w kraju, którego elity nie reprezentują własnego narodu i odrzuciły misję przewodzenia mu.

Niedawny wyrok Sądu Najwyższego przyznający prawo do „małżeństwa” osobom tej samej płci jest doskonałym dowodem zarówno uzurpacji przez władzę sądowniczą prawa do decydowania o tym, do czego według Konstytucji prawa nie ma, jak i triumfu ultra-postępowej inżynierii społecznej.

Obecna kampania wyborcza świetnie pokazuje społeczny kryzys w Ameryce. Nie wchodząc w szczegóły, oczywiste jest, iż Donald Trump jest głosem sprzeciwu szeroko pojętej klasy średniej. Ciekawsze jest, choć nie zaskakujące w świetle poczynionych uwag i też nie będę się nad tym rozwodzić, że Hillary Clinton – propagatorka moralnego zła (poparcie dla: walki z chrześcijaństwem, aborcji, homoseksualnych "małżeństw", wszystko to docenione przez ultra-postępową organizację Planned Parenthood nagrodą im. Margaret Sanger w roku 2009), zwolenniczka złych decyzji politycznych na Bliskim Wschodzie (Irak, Libia) odpowiedzialna za śmierć 4 osób w ambasadzie USA w Benghazi w roku 2012, mistrzowsko łącząca politykę z biznesem w sposób, który przyniósł fortunę Clintonom według wielu nie zawsze legalnie i niejednym raz w sposób moralnie naganny – jest wygodnym kandydatem Partii Demokratycznej na Prezydenta USA.

Nie taką Amerykę wymarzyli sobie Ojcowie Założyciele, ale rozrost władzy federalnej był po przegranej wojnie secesyjnej nieunikniony – co z tego, że kosztem gwałcenia Konstytucji – no i ma Ameryka ze sobą problem. Bez względu na to, kto zostanie kolejnym Prezydentem USA, problem, o którym tu mowa pozostanie. Dla Amerykanów wynik wyborów, jakkolwiek by był, nie będzie oznaczał istotnej zmiany państwa, w którym żyją.

Duża część społeczeństwa amerykańskiego dobrze wie, że amerykański rząd – wszystkie jego gałęzie – nie reprezentuje ich interesów. Wie, że rząd lekceważy i gwałci amerykańską tradycję społeczną i amerykańskie dziedzictwo, w tym dziedzictwo samorządności. Wie też, że rząd tak powiększył zakres swojej władzy, w tym władzy niewybiranych przez obywateli sędziów Sądu Najwyższego, i tak rozbudował federalną biurokrację, iż praktycznie obywatel nie ma żadnego wpływu na ten rząd. Jak to nazwał w swojej najnowszej książce Murray, obywatel jest poddanym „systemu prawa ufundowanego na bezprawiu” (*lawless legal system*). Tego żadne wybory nie zmienią.

Jeśli zatem chcą Amerykanie wyjść z kryzysu ich kraju obronną ręką, musi nadejść ich kolejne Wielkie Przebudzenie. Ameryka przeżyła dotąd co najmniej trzy okresy takiego społecznego – wówczas religijnego – ożywienia, nieważne w tym miejscu czy o dobrych, czy złych skutkach; Pierwsze Przebudzenie zaczęło się w latach 30-tych i zakończyło w szóstej dekadzie XVIII wieku, drugie zaczęło się w końcu XVIII wieku i trwało do czwartej dekady wieku XIX, trzecie zaczęło się w połowie wieku XIX i trwało do jego końca.

Ale to zadanie na pokolenia – tu nie chodzi o stworzenie kolejnej grupy nacisku, o jakiś przełom polityczny, czy nawet o jakąś polityczną rebelię. To wielkie zadanie odbudowy wspólnot społecznych od dołu, lokalnie, zadanie ożywienia narodowej tradycji i wspólnego dziedzictwa, ożywienie lokalnych wspólnot, które przywrócą obywatelowi podmiotowość i odnowią jego poczucie odpowiedzialności za siebie i wspólnotę – lokalną i narodową.

Wszystko co tu zostało napisane nie oznacza, że najbliższe wybory nie będą miały znaczenia dla bieżącej polityki społecznej w USA oraz amerykańskiej polityki zagranicznej. Ciekawe przy tym, czy Partia Republikańska i sam Trump w ogóle chcą wygrać najbliższe wybory prezydenckie. To również są pasjonujące tematy, ale zupełnie inne i na inny tekst.

31 sierpnia 2016